



3 **Zwykły dzień...**

Krew, zniszczenie, śmierć, wojna, horror... A nie, to nie ta impreza. To dzień Drzwi Otwartych w ZSA Politechniki Wrocławskiej.

7 **Otwierając nieotwieralne...**

Jeden z najbardziej utartych schematów w treściach kultury masowej wygląda mniej więcej tak: bohaterowie dążą do założonego celu, po drodze natrafiają na nieprzewidziane przeszkody, które motywują ich do jeszcze większego wysiłku i zazwyczaj na końcu osiągają sukces. 23 marca to właśnie przytrafiło się uczniom i nauczycielom ZSA podczas organizacji Dnia Otwartego naszej szkoły. Czy udało się osiągnąć sukces?

13 **Wielki Szop żąda ofiar z ludzi!**

No i się skończyło. Wstęga została przecięta, złota płachta opadła i ujawniła soczystą figę z makiem. Nasza Odyseja dobiegła końca. Pokonaliśmy wprawdzie krwiożercze cyklopy, przechytryliśmy złowrogie syreny, ale Wielki Szop nie był dla nas łaskawy.

15 **Perfekcja Finchera**

Jest wyjątkowo deszczowa noc. Robert Graysmith (Jake Gyllenhaal) idzie, wręcz biegnie, w tylko sobie znanym kierunku. Nie przeszkadza mu, że marznie. W końcu dochodzi pod drzwi domu swego przyjaciela, detektywa Dave'a Toschi (Mark Ruffalo). Dobijając się do nich, budzi gospodarza. Ten każe mu odejść, grożąc, że wezwie policję. Ale Robert nie chce, nie może. Niedawno rozwiązał zagadkę, nad którą głowiono się od kilkudziesięciu lat. Zna tożsamość człowieka tytułującego się Zodiak.

18 **Adele poznaje Emmę...**

Jest przyjmowany, często błędnie, podział kolorów na ciepłe i zimne. Do pierwszej grupy zaliczają się odcienie czerwonego, żółtego, pomarańczowego etc. Z kolei barwy niebieskie, zielone, fioletowe to kolory zimne.

Zwykły dzień...

Krew, zniszczenie, śmierć, wojna, horror... A nie, to nie ta impreza.

Zaczynając od początku, bla bla bla, coroczne, bla bla bla, dni otwarte, bla bla bla. Trzeba przejść, bo... A resztą wiecie.

No dobra, rozpoczniemy jeszcze raz. Co roku na wiosnę w szkołach organizuje się dni Drzwi Otwartych. Mają na celu zachęcić nowych uczniów do wyboru takiej a nie innej placówki oświatowej. Organizujemy je także my, jak i czternastka, piątka, trójka, dziewiątka, urszulanki, siódemka i wiele innych. Może trochę za dużo tych szkół. Każda stara się zaprezentować jak najlepiej, pomijając pewne kwestie np. przemoc na korytarzach... U nas na szczęście tego nie ma. W każdym razie, w czasie przygotowań do Drzwi Otwartych jest pracy od groma, a w naszej szkole wysiłek przybrał „astronomiczne” wymiary.

Dawno temu ja i mój brat (nie stricte brat, tylko dobry kolega), Maciek Proćków, szliśmy sobie spokojnie przez ciemny, mroczny korytarz, przez błoto i kamienie. I wtedy nagle z ciemności wyłonił się ubrany w okulary przedstawiciel grona pedagogicznego... I rzekł: „Zróbcie relację z dnia Drzwi Otwartych albo odeślę wasze dusze do piekła, a przyszłe kariery do piachu”. Więc ja i Maciek spojrzeliśmy na siebie i powiedzieliśmy: „Okej”.

Wzięliśmy kamerę, statywy i w sobotę zabraliśmy się do pracy. Zaczęliśmy od wystąpienia Pani Dyrektor w przepełnionej niemiłosiernie sali (przepełnionej kandydatami do szkoły i ich rodzicielami). Potem przeszliśmy na kolejne piętra wraz z gośćmi. W międzyczasie przegapiliśmy strażaków i „pożar” na czwartym. Szkoda, nie można być obiektywnym...

Widok był zabawny. Ja, rozemocjonowany, na skraju poczytalności, mówiący co, gdzie, jak oraz stateczny, stoicki Maciek z kamerą filmową, kręcący to, co mu się podoba. To się nazywa współpraca.

Przerwa na reklamę.

Hej, jesteś zmęczony codziennością zwykłej, z tej Ziemi szkoły. Położymy temu kres w tejże niezwykłej, nie z tej Ziemi szkole. Mamy tu, eee... jedno zajęcia. Mamy tu, eee... całą masę różnych zajęć. Jest tu laboratorium chemiczne, pracownia fizyczna, boksy dla uczniów. Choć do nas, mamy masę ciekawych rzeczy do roboty oraz same roboty. Chodź na lekcje, zbieraj oceny. Program tutoringu właśnie wystartował. Słownie najfajniejsze miejsce we wszechświecie.

Ha, to pierwsza relacja z reklamą w sobie pisaną przez autora.



Zaczynamy od drugiego piętra i Tuskmanna rozdającego lokalną gazetę (za żadne Chiny nie czytajcie tego szmatławca, prowadzi go tak niekompetentny redaktor naczelny, że... zaraz, czy to idzie do druku?!!) Idziemy dalej do pokoju z grami matematycznymi. Zaraz obok jest wykład o ciągu Fibonacciego. No wiecie, 0, 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13... Dalej kawiarenka językowa i konkurs piosenek obcojęzycznych o dwunastej, taki, że Maślowska nie znalazłaby słów, żeby go opisać. Naprzeciwko gra logiczna, której nawet Maślowska by nie rozwiązała. I na końcu korytarza, sąsiadujący z zepsutą windą, posterunek Armii Czerwonej opowiadający o zdobyciu kosmosu przez komunistów i kapitalistów.

Jeśli macie wrażenie, że ten tekst jest improwizowany i pisany na odwal się, to wchodzimy w strefę międzygalaktyczną. Trzecie piętro - Dzień Sądu. Skynet opanował roboty w 3.01. Dalej jest jeszcze gorzej. Kosmiczny bank, gry komputerowe, roboty... Uciekliśmy jak najszybciej do naszej kryjówki (boks nr 3.2) zamaskowanej pracami artystycznymi, które są mocno postimpresjonistyczne, ale kolega doszukał się metafizycznych alegorii i ciekawych eksperymentów stylistycznych stojących w pozorowanej sprzeczności z surrealizmem wiodącej natury humanizmu miłosiernej duszy artysty, któremu, dzięki podkreśleniu kontrastu kolorystyki i perspektywy, udało się zsublimować...

I co dalej? Dżudocy z karabinami, strzelający do bramki gole z użyciem kijów hokejowych. A to dopiero początek. Wielkie pantofelki i mikroorganizmy namalowane są tak hiperrealistycznie, że trzeba przepisać definicję zasady mimesis. One żyją

i pożerają niewinnych zwiedzających. Niektórzy schronili się w jaskini filozofów. Inni, u geografów. Orowadzający nie wiedzą, co zrobić z pozostałościami po gościach, więc uciekają do pokoju z brydżem. Przez ten wysyp żywych trupów mało kto odważy się wejść do klasy z polskim i wybitnymi filmami (ich strata!) Dalej, mecz ping-ponga (tenisa stołowego, ty leniu, który to piszesz!) i wyścig na ergometrach, w których nagrodą jest dorodny ananas. Aż dochodzimy do... Strefy X. Quiz, którego nikt nie potrafi rozwiązać, wykańcza każdego śmiałka. Niedobitki idą przez opary trujących gazów na peron 9 i 3/4... by zostać relegowani z Hogwartu przez wrednego nauczyciela eliksirów. Pracownia fizyczna za nieposłuszeństwo każe ich prądem elektrycznym, promieniami (no wiecie, standard) albo wysyła na rozmowę do starego profesora Einsteina. Zwiedzający docierają wreszcie do latarni morskiej... Tyle że tu nie ma latarni morskiej, tylko... (dramatyczne pociągnij nosem, jeśli czytasz to nagłos) eksperymenty chemiczne. Suchy lód nie moczy Marii Skłodowskiej-Curie. Kartonowy układ okresowy uwolnił się od niepotrzebnych lantanowców i aktynowców. Sztuczna krew zalewa ręce badaczy. Możesz postawić ostatnią dychę, bo cały personel jest przeszkolony i wie, jak sobie poradzić w trudnych sytuacjach. Wszystko w końcu trzyma się na taśmie McGrubera...

Chociaż nie, to był zwykły dzień otwarty, w zwykłym polskim liceum. Czogoś chcieć więcej?

Reszty nie wydajemy.

KACPER KOWALSKI – 2 AL



Nasze rozmowy

Zapytaliśmy naszych gości, co mogą powiedzieć na temat tegorocznych dni Drzwi Otwartych w ZSA Politechniki Wrocławskiej

Maciej L. (Gimnazjum nr 14, Wrocław): - Od dłuższego czasu zastanawiam się nad wyborem szkoły średniej. Przyszedłem tutaj, ponieważ poważnie biorę pod uwagę Akademickie Liceum Ogólnokształcące. Uroczystość Drzwi Otwartych bardzo mi się podobała. Uwagę zwracała ogromna gościnność uczniów, którzy bardzo chętnie nas, dzisiejszych gości, oprowadzali po szkole i byli gotowi odpowiedzieć na każde pytanie. Najfajniejszymi pokazami były te z chemii i fizyki. Podobało mi się również w sali matematycznej. Niestety, nie mogłem wziąć udziału w grze o kłamaczach i prawdomównych, ponieważ była zbyt duża kolejka.

Michał D. (Szkoła Podstawowa nr 82 Wrocław): - Bardzo podobają mi się wasze Drzwi Otwarte. Dużym plusem są boksy, które można wynająć. Chcę się dostać do tej szkoły ze względu na matematykę. W tej kategorii miażdżycie konkurencję. Podobała mi się wystawa w sali języków obcych. Panie nauczycielki bardzo chętnie z nami, przyszłymi kandydatami, rozmawiały na temat ALO. Cieszę się, że uzyskałem odpowiedzi na każde pytanie o tę szkołę.

Jan D. (Szkoła Podstawowa Atut): - Bardzo mi się podobała matematyczna gra terenowa. Cieszę się, że zostałem oprowadzony po szkole i bliżej ją poznałem. Zaletą ZSA jest niezwykley budynek. Pomimo zamkniętych okien, było przyjemnie. Klimatyzacja jest plusem szkoły. W innych, które odwiedziłem, było gorąco. Podobała mi się część fizyczno-chemiczna oraz prezentacja o Einsteinie. Ważnym elementem było przybliżenie mi planu lekcji przez jednego z uczniów gimnazjum. Dzięki temu zrozumiałem, jak wygląda dzień w Liceum Politechniki.

Rozmawiał: GASPAR SEKULA – 3 CG



Otwierając nieotwieralne...

Jeden z najbardziej utartych schematów w treściach kultury masowej wygląda mniej więcej tak: bohaterowie dążą do założonego celu, po drodze natrafiają na nieprzewidziane przeszkody, które motywują ich do jeszcze większego wysiłku i zazwyczaj na końcu osiągają sukces. 23 marca to właśnie przytrafiło się uczniom i nauczycielom ZSA podczas organizacji Dnia Otwartego naszej szkoły. Czy udało się osiągnąć sukces?

Opinie gości, z którymi miałem okazję porozmawiać podczas kolportowania szkolnej gazetki, jednoznacznie stawiają wydarzenie w niezwykle pozytywnym świetle. Wszyscy byli pod wrażeniem szerokiego wachlarza atrakcji, a nawet zwrócili uwagę na zjawiska, które dla nas są codziennością – usłyszałem wyrazy pochwały sprawnego systemu klimatyzacji, a nawet szczere zaskoczenie pozytywnymi relacjami pomiędzy uczniami i nauczycielami.

Jestem przekonany, że gdyby nasi goście byli w C13 już od 8:15, to ich podziw dla organizacji wydarzenia byłby jeszcze większy. Pomimo tak wczesnej pory rozpoczęcia przygotowań, bo to przecież trzy godziny przed pierwszymi wizytami na stanowiskach uczniów, wszystko przygotowywano na ostatnią chwilę, co było związane z „nieprzewidzianymi trudnościami”. Odkryto np., że kilka przedłużaczy jest niesprawnych, a nawet oskarżono pewną żarówkę o łamanie prawa Ohma.





Godzina 11:15... Przyszli uczniowie Liceum Akademickiego z rodzicami opuszczają salę wykładową po spotkaniach z Panią Dyrektorką i Działem Rekrutacji. Napływ tłumów na uczniowskie stanowiska stanowił nie lada wyzwanie. W pocie czoła pracował cały pion fizyczno-chemiczny, bo ta część wzbudziła największe zainteresowanie. Już z daleka widać było profesjonalne stojaki pełne balonów z logo szkoły. Stoły wypełnione były odczynnikami, korytarze zwiedzającymi, ale pomiędzy próbkami i kolbami udało się znajdować momenty na krótkie rozmowy i pytania typu „Jacy są nauczyciele?“, „Fajna ta szkoła?“, „A ty idziesz do tego liceum?“. Wydawało się, że obcy poczuli nastrój panujący w szkole.

Podobne emocje miały miejsce w salach matematycznych. W tym roku nauczycielom należy się duże uznanie za przygotowanie tak wielu atrakcji – goście byli pod wrażeniem pomieszczeń poświęconych Królowej Nauk. Ciepło wypowiadali się głównie o Konradzie Leszczyńskim, który podjął się zadania teoretycznie niemożliwego – nauczania naszych gości sztuki układania kostek Rubika. Dzięki niemu kilkadziesiąt osób wyszło z C13 z nowymi umiejętnościami. To także było miejsce wielu konwersacji – szczególnie angażujący okazał

się prof. Wójcik.

Humaniści także nie mieli powodów do narzekania – sale językowe i historyczna były przygotowane na równie wysokim poziomie. Odbyły się tam pełne emocji Kahooty, a nawet konkurs piosenki obcojęzycznej. W sali od angielskiego nauczyciele przygotowali herbatę i ciasteczka.

W tym roku podjęte zostały działania mające na celu umożliwienie każdemu gościowi zwiedzenie stanowisk bliskich jego zainteresowaniom – Michał Jagodziński przygotował legendę kolorystyczną, a podłogę oklejono taśmami w odpowiednich barwach. Dzięki temu powstała bardzo uproszczona nawigacja, ale odwiedzający chyba nie do końca zrozumieli sposób jej działania.

Tegoroczne Dni Otwarte przede wszystkim były ciekawą rozrywką również dla uczniów, a nawet stały się okazją do spotkania ze znajomymi. Finalnej oceny wydarzenia będzie można dokonać dopiero na początku wakacji, kiedy zaczną napływać pierwsze podania o przyjęcie do szkoły, ale wszystko wskazuje na to, że zainteresowanie będzie ogromne. Pokazaliśmy najważniejsze – atmosferę, jakiej spodziewać się mogą od września przyszli uczniowie LA Politechniki.

MAKSYMILIAN SKICA – 3 CG



Odchamidło

Wielki Szop żąda ofiar z ludzi!

No i się skończyło. Wstęga została przecięta, złota płachta opadła i ujawniła soczystą figę z makiem. Nasza Odyseja dobiegła końca. Pokonaliśmy wprawdzie krwiożercze cyklopy, przechytrzyliśmy złowrogie syreny, ale Wielki Szop nie był dla nas łaskawy.

Szop z jednym wyrazem twarzy, w jednej czerwonej koszulce i czapce z daszkiem. Niemy szop, który trzymał w garści nasze marzenia, nadzieje i wysysał pokłady naszej kreatywności, Omer – maskotka Odysei Umysłu. Witany brawami, machał swoją pluszową ręką, niczym król na paradzie. Rozkoszował się psychodelicznymi wierszykami sędziów i charakterystycznym, przesywającym krew w żyłach, odysejowym monoklaskiem. Nieste-

ty, dla naszej drużyny zabrakło miejsca w królestwie marzeń Omera. Nasz amerykański sen rozpląnął się wraz z ogłoszeniem wyników konkursu. Wszystko się urwało, pozostawiając w nas kłujące uczucie pustki, ale od tej chwili, gdy tylko zamykam oczy, widzę, wyryty w mojej nadwerżonej wyobraźni, obraz Wielkiego Szopa Omera uśmiechającego się do mnie zawsze tym samym, wyszytym uśmiechem... Ale zacznijmy od początku!



Ponieważ po regionalnych eliminacjach do prestiżowego konkursu Odyseja Umysłu zakwalifikowaliśmy się do finałów ogólnopolskich, w piątek 29 marca cała drużyna stawiła się w budynku szkoły (C-13, ten szary z dziurami, jakby ktoś zapomniał), aby wypakować ze szkolnego boksu dekorację do naszego „spektaklu” i zapakować ją do busu, który miał nas dowieźć do Gdyni. Teraz przekażę kilka informacji, które ułatwią Wam dalsze czytanie tego artykułu. Odyseja Umysłu, nazywana także Olimpiadą Kreatywności, to konkurs stworzony w 1978 przez C. Samuela Micklusa. Ma na celu rozwijanie w młodych ludziach kreatywności i twórczego rozwiązywania problemów. Na każdym etapie konkursu drużyna musi przedstawić rozwiązanie długoterminowego problemu (który wcześniej wybrała, okrutnie dyskryminując problemy z pozostałych czterech kategorii) oraz rozwiązać problem przedstawiony drużynie na miejscu, tak zwany spontan. Długoterminowy problem, który wybrała nasza drużyna, nosił nazwę „W pracowni mistrza Leonarda” i polegał na prezentacji scenki z pracowni mistrza Leonarda (da Vinci, jakby ktoś nie wiedział). Leonardo miał stworzyć wynalazek, który zostanie wyśmiany przez krytykanta, przez co twórca porzuci swój projekt, jednak okaże się, że wynalazek jest powszechnie używany w dzisiejszych czasach. Swoim występem zapewniliśmy sobie pierwsze miejsce w etapie regionalnym i pełni entuzjazmu ruszyliśmy do Gdyni, w której odbyć się miał (i odbył) finałowy etap Odysei. Kiedy już udało nam się zapakować scenografię do busu, mogliśmy nareszcie rozpocząć naszą odyseję marzeń (my, czyli Alicja Bałuta, Zofia Stypułkowska, Martyna Trojanowska, Jakub Polański, Bartosz Kosiński, Michał Kucharski i sceptyczny ja oraz, oczywiście,



nasza pani trener – pani Anna Żarnecka). Gdy tylko wsiadłem do naszego wehikułu, wiedziałem, że nie będzie to podróż łatwa. Siedzenia były chyba zaprojektowane dla osób, którym nogi kończyły się w udach. Przednie siedzenie wpijało mi się w kolana przez całą drogę, tak że po wyjściu z pojazdu miałem w tych miejscach najprawdziwsze siniaki. Wątpliwej jakości śpiew moich współtowarzyszy, niestety, nie poprawiał sytuacji. Do tego kolega na siedzeniu obok był rozmowny jak rzepa w zupie kalafiorowej (czyli tak proszę państwa, nie był), ale mimo to humorzy mieliśmy całkiem dobre. Nie będę się długo rozpisywał, co robiliśmy w trakcie podróży, żeby nie niecierpliwic dłużej tych, co jakimś cudem dotrwali do tego momentu (no i poza tym nie wszyscy Czytelnicy są pełnoletni, a niektórzy mają zapewne słabe nerwy). Po prawie całym dniu jazdy dotarliśmy do Gdyni, a tu niespodzianka. Okazało się, że poprzedni goście zostawili w apartamencie, który wynajęliśmy, kota. To znaczy kota teoretycznego. Otóż ten osobliwy stwór przypominał bardziej zmumifikowanego pupila któregoś z faraonów, albo upiora z jakiegoś niskobudżetowego horroru. Nie wiem, co robili z tym stworzeniem właściciele, ale ten kot nie miał... sierści. Pojawił się pomysł, żeby zgłosić sanepidowi, że w naszym pokoju jest przerośnięty szczur. W każdym razie musieliśmy z tym paskudztwem mieszkać, a kiedy zapadła noc musieliśmy także jakoś przetrwać z nim noc. Nie wiem dlaczego, ale to straszycło najbardziej polubiło mnie i mój tapczan, przez co pierwszej nocy nie dane mi było spać. Po długich negocjacjach z kotem udało się go nakłonić do spania, ale zostało mi już mało czasu do pobudki. Kiedy wszyscy wstali, ubrali się i zjedli śniadanie (no dobra, nie wszyscy zdążyli), przyszedł czas na Odyseję.

W sobotę mieliśmy spontan, o którym nie wolno mi mówić do następnego etapu konkursu (na który nie pojedziemy). Choć przed spontanem prawie zakaszlałem się na śmierć (kiedy się stresuję, to kaszlę), to po zadaniu wszyscy nieco odetchnęli. Odysejowi agenci chyba mnie nie zabiją, jeśli zdradzę, że jeden z sędziów przebrany był za tukana. Po spontanie pojechaliśmy zwiedzać Gdańsk (w sposób obrzydliwy, lekceważąc uroki Gdyni). Wszystko byłoby wspaniale, gdyby nie to, że wieczorem musieliśmy się stawić na wielką imprezę integracyjną. Masa małych dzieci, wielki tańczący szop, wodzirej w stroju banana i didżej o szlachetnym pseudonimie „Fala” chyba najlepiej scharakteryzują tę dyskotekę hańby. Jednak to wtedy pierwszy raz coś otrzymaliśmy od łaskawych organizatorów Odysei (nie wiem, czy mówiłem, ale Odyseja to jeden z tych konkursów, w których płaci się grube pieniądze, a nie dostaje nic... no i wszędzie reklamują swój sklepik z pamiątkami). Otóż tym razem, każdy uczestnik miał prawo do jednego hot-doga i soczku. Po zjedzeniu tego wykwintnego posiłku i po zrobieniu sobie całą drużyną serii kompromitujących zdjęć, wróciliśmy do apartamentu.

Mogę chyba od razu przejść do następnego dnia, dnia naszego występu. Przed opuszczeniem apartamentu, nasza kochana Pani Trener, dla rozluźnienia sytuacji, nabrała nas, że nie ma jednego z niezbędnych formularzy, które trzeba było złożyć. Wyciągnęliśmy więc z szafy starą drukarkę i udało nam się jakoś wydrukować potrzebny dokument, po czym na jaw wyszedł specyficzny dowcip Pani Trener. Przed występem czekało nas przesłu-

chanie, dotyczące naszej scenografii, prowadzone przez panią w osobliwym stroju. Po wyrecytowaniu przez sędziów psychodelicznych wierszyków i wykrzyknięciu przez nas hasła rozpoczynającego, rozpoczęliśmy występ. Po ogólnym rozbawieniu sędziów naszym spektaklem, byliśmy dobrej myśli. Później otrzymaliśmy także karteczki z pozytywnymi uwagami sędziów, pozwolę tu sobie przytoczyć kilka z nich: „Superhumor!”, „Michał Anioł to burak :D” (kwestia ze scenariusza), „Leonardo, masz talent aktorski !!!”, „Świetny humor!!!”, „Gra aktorska Leonarda naprawdę wspaniała! Scenariusz pomysłowy, całość ciekawa i zabawna, dziękuję”, „Świetna gra aktorska. Wymiatacie!”, „Bardzo przeciwzione przedstawienie, brawo!”, „Gronostaj z damą w łapkach – chcę to zobaczyć!”, „O mamma mia calzone! Cóż za wyrafinowany humor!”. Czytając tak entuzjastyczne pochwały, mogłoby się wydawać, że wypadliśmy całkiem niezłe. Tymczasem po otrzymaniu surowej punktacji, nasze wszelkie wątpliwości zostały rozwiane – wypadliśmy beznadziejnie. Co gorsza, w jednej kategorii otrzymaliśmy 0 punktów, choć na etapie regionalnym nikt nie miał do niej żadnych zastrzeżeń. Napisaliśmy odwołanie, ale sędziowie byli nieugięci. W nie najlepszych nastrojach wróciliśmy do apartamentu, by spakować rzeczy. Nagle zadzwonił telefon, który miał nam dać złudną nadzieję. Mieliśmy się stawić w budynku Odysei, aby wyjaśnić sprawę odwołania. Okazało się, że wezwano nas, żeby nam wyjaśnić, dlaczego nasze odwołanie nie zostało przyjęte. No trudno, pozostało tylko oczekiwać wyników.





IV LO W BIAŁYM
IM. CYPRIANA KAMILA

IV LO W BIAŁYM
AN



Nadszedł czas gali, na której miało się odbyć ogłoszenie wyników. Okraszona występami artystycznymi, które miały niecierpliwie i stresować uczestników, gala powoli zbliżała się do decydującego dla nas momentu. Trzecie miejsce – nie my, drugie miejsce – nie my... Straciłem już wszelkie nadzieje, ale moi towarzysze niedoli nadal wyczekiwali pierwszego miejsca... No i wreszcie zakończyły się tańce, skończyło machanie łapką pluszowego szopa, czas ogłoszenia zwycięzców, którzy pojedą do Stanów Zjednoczonych reprezentować Polskę... iiii pierwsze miejsce (werble) – nie my! Nie chciałem zarzucać sędziom stronniczości, ale to, że większość wygranych było z Gdańska (polskiej stolicy Odysei Umysłu), może o czymś świadczyć...

I tak skończyła się nasza przygoda, nasze serca spowił mrok, polegli wracaliśmy do szarej rzeczywistości. Tak jak złota rybka z akwarium wrzucona w zimne wody oceanu. Szop zatriumfował,

śmiejąc się z naszego nieszczęścia. Czytając ten tekst, zapewne mogło Ci się zdawać, Drogi Czytelniku, że niezbyt podobała mi się ta odysejowa przygoda. To wbrew pozorom, mylne wrażenie. Dzięki tej „olimpiadzie” miałem szanse kreatywnie spędzić czas z przyjaciółmi i razem z nimi stworzyć coś niezwykłego. Mimo że były chwile, w których szczerze nienawidziłem Wielkiego Szopa, chętnie powtórzyłem to doświadczenie. Choć to hasło przegranych, przytoczę słynną dewizę Odysei: „Co nie jest zabronione, jest dozwolone”... zaraz, to nie to... chodziło mi o „W Odysei Umysłu każdy jest zwycięzcą”!

Zachęcam wszystkich do wzięcia udziału w tej magicznej przygodzie, a jeśli uda Wam się osiągnąć swych marzeń i wygrać, niech któryś weźmie dzidę i upoluje dla mnie Wielkiego Szopa!

MARCIN WERON – 2 BL



Odchamidło

Perfekcja Finchera

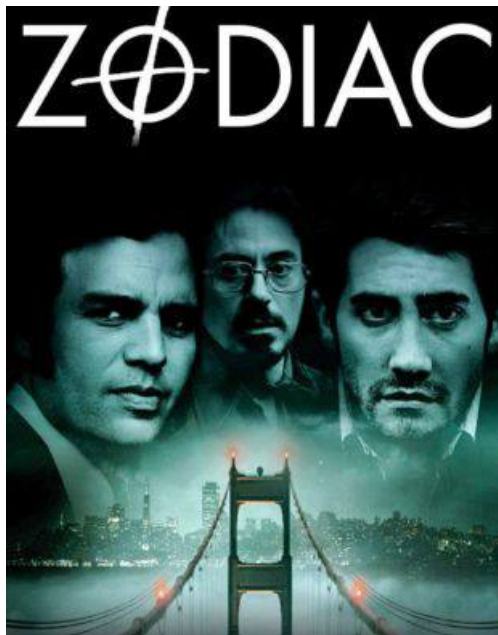
Jest wyjątkowo deszczowa noc. Robert Graysmith (Jake Gyllenhaal) idzie, wręcz biegnie, w tylko sobie znanym kierunku. Nie przeszkadza mu, że marznie. W końcu dochodzi pod drzwi domu swojego przyjaciela, detektywa Dave'a Toschi (Mark Ruffalo). Dobiągając się do nich, budzi gospodarza. Ten każe mu odejść, grożąc, że wezwie policję. Ale Robert nie chce, nie może. Niedawno rozwiązał zagadkę, nad którą głowiono się od kilkudziesięciu lat. Zna tożsamość człowieka tytułującego się Zodiak.

Ta jedna scena idealnie opisuje relację widza z filmem Davida Finchera. Przez ponad dwie godziny oglądania rekonstrukcji działań policji San Francisco, gazety „San Francisco Chronicle” oraz samego mordercy, widz zmuszany jest do czynnego brania udziału w niewyobrażalnie skomplikowanym śledztwie. Potok słów wypowiedzianych przez kolejne osoby, natłok zdarzeń, poszlak, podejrzanych mają swoje odzwierciedlenie w deszczu. Jakąś część widza uosabia Graysmith, który musi im stać czoła, by przekazać resztkę umysłu (Toschi), że jest sens w całym tym zgiełku. Toschi oczywiście nie chce słuchać. Dopiero wykrzykane nazwisko mordercy przekonuje go do otwarcia drzwi gościowi. Nie może uwierzyć, że znaleziono prawdę. Bo czymże jest „Zodiak”, jak nie jednym wielkim poszukiwaniem prawdy?

Według Alfreda Hitchcocka film powinien zaczynać się od trzęsienia ziemi, po którym napięcie ma stale wzrastać. 4 lipca 1969 w Vallejo w Kalifornii, jak w każdym innym zakątku kraju, ludzie świętowali dzień niepodległości. Darlene Ferrin i Mike Mageau wybrali się wtedy razem samochodem i zatrzymali się w ustronnym miejscu. Zauważyli jednak, że ktoś przez całą drogę ich śledził i teraz stoi za nimi. Tajemnicza osoba wysiadła ze swojego samochodu, podeszła do nich, oddała z 9-milimetrowego Luger'a dziesięć strzałów, zbijając kobietę, i odjechała. Kilka tygodni później 1 sierpnia 1969 redakcja „San Francisco Chronicle”

otrzymuje anonimowy list opisujący rzeźone morderstwo, którego autor grozi, że jeśli gazeta nie opublikuje go, zabije kolejne osoby. Tydzień później dziennikarze otrzymują kolejny list zaczynający się: „Droga redakcjo, pisze do was Zodiak...”

David Fincher po wprowadzeniu mise-en-scène ani na chwilę nie zmniejsza napięcia. Daje popis swoich umiejętności jako reżyser poprzez prowadzenie historii z charakterystycznymi dla siebie elementami wizualnymi. Zmotywowany przez postacie ruch kamery zamyka niejako uczestników śledztwa we własnych słabościach: niewiedzy, obsesji, ograniczeniach prawnych. Same zdjęcia Harrisa Savidesa, utrzymane w spranych kolorach, z dominacją głównie brązów i bladego błękitu, nadają posępnego, pesymistycznego klimatu produkcji, kojarzonego z filmami noir. Chirurgiczny montaż Agnusa Walla, oprócz pomagania w opowiadaniu o śledztwie i kreowaniu emocji, zagęszcza i komplikuje zagadkę, którą



muszą rozwiązać bohaterowie. Należy się także pochwała twórcom za wykreowanie wiarygodnego obrazu San Francisco lat 60. i 70. dzięki scenografii, kostiumom (łącznie z muchą Dave'a Toschi) oraz efektom specjalnym. Reżyser, chcąc przedstawić poszukiwanie prawdy o tożsamości mordercy, sam wykreował autentyczny obraz świata drugiej połowy XX wieku, jak i atmosfery niepokoju, gryzącej niewiedzy.

Przygotowując się do kręcenia filmu, Fincher wraz ze scenarzystą, Jamesem Vanderbiltem, spędzili miesiące na badaniu sprawy Zodiaka. Oprócz dokładnego przestudiowania książek autorstwa Roberta Graysmitha, rysownika San Francisco Chronicle, który brał aktywny udział w śledztwie, twórcy filmu przejrzeni dostępną dokumentację oraz przeprowadzili wywiady z osobami związanymi ze sprawą. Udało im się nawet dotrzeć do świadków morderstw, jak i ludzi, którzy przeżyli ataki Zodiaka. Dzięki temu rekonstrukcje zdarzeń oglądane na ekranie wypadają niesamowicie, wręcz przerażająco wiarygodnie. Niemal każdy detal sprawy ma swoje miejsce w filmie: szyfr, którym posługuje się morderca, jego listy, rozmowy telefoniczne... Scenariusz Vanderbilt wymaga w związku z tym uwagi i skupienia od widza. Powolne tempo filmu, natłok zdarzeń i dialogów, niejako oddające trudy sprawy, stanowią świetną rozrywkę intelektualną. Zaś relacje między postaciami dodają głębi emocjonalnej. Pozwalają nam uwierzyć w prawdziwość przedstawionych wydarzeń.

Niewątpliwie główną postacią filmu jest Robert Graysmith grany przez Jake'a Gyllenhaala. Aktor ma talent do kreowania postaci ogarniętych obsesjami, jak w "Donnie Darko" Richarda Kelly czy "Wolnym strzelcu" Dana Gilroy'a. Robert Graysmith nie ustępuje im pod tym względem. Jak sam siebie określa, lubi zagadki. Przez cały film obserwujemy jak proste, niewinne hobby staje się jego przekleństwem, niszczącym m. in. jego życie rodzinne. Jedną z lepszych ról Gyllenhaala oraz jedną z bardziej niedocenionych. Partnerują mu Robert Downey Jr. jako Paul Avery, pijący i palący na umór dziennikarz „San Francisco Chronicle” oraz Mark Ruffalo, czyli Dave Toschi, detektyw policyjny. Swoją drogą, sprawa Zodiaka była inspiracją dla "Brudnego Harry'ego"

Dona Siegela, który pojawia się w filmie Finchera, a sam Harry Callaghan opierał się na Toschim. Mark Ruffalo, zamiast iść drogą Clinta Eastwooda lub Steve'a McQueena, woli subtelniejsze środki aktorskie. Jego Dave Toschi jest zmęczony swoją pracą, ale pozostaje spokojny, opanowany. To asertywny profesjonalista, który robi, co należy, ale czasami musi dać upust nerwom i wyrazić swoją złość. Z kolei Downey Jr. znowu jest charyzmatycznie inteligentny, zblazowany i cyniczny. Choć jeszcze wtedy nie nosił metalowej zbroi ani nie mieszkał w Londynie, daje preludeum do swoich później-szych i najbardziej znanych ról. Mimo że Paul Avery nie jest tak znany jak Tony Stark lub Sherlock Holmes, to jest – paradoksalnie - o wiele od nich dojrzały. W pomniejszych rolach wyróżniają się Brian Cox, Chloë Sevigny oraz John Carroll Lynch. Ten ostatni chyba najbardziej zapada w pamięć. Jego do bólu ambiwalentny Arthur Liegh Allen przeraża swoją nijakością, codziennością, zwłaszcza w jednej z ostatnich scen.

O wielkości "Zodiaka" niech świadczy fakt, że w całym filmie tytułowy morderca pojawia się tylko w kilku scenach, a i bez niego nieustannie czuje się jego obecność. Przez blisko dwadzieścia lat spędzał sen z powiek mieszkańcom Kalifornii. Był swoistą enigmą, zagadką do rozwiązania, zaś David Fincher tak wiernie, jak to możliwe, przedstawił ją w całej swojej krasie i złożoności, aż do zaskakującego zakończenia, które wstrząsa nawet widzom zaznajomionym ze sprawą Zodiaka. Film dużo wymaga od widza, tak samo jak oryginalne śledztwo. Zmusza do szukania prawdy.

Na razie wiadomo jedno, 4 lipca 1969 w Vallejo w Kalifornii doszło do morderstwa...

KACPER KOWALSKI – 2 AL



Adele poznaje Emmę...

Jest przyjmowany, często błędnie, podział kolorów na ciepłe i zimne. Do pierwszej grupy zaliczają się odcienie czerwonego, żółtego, pomarańczowego etc. Z kolei barwy niebieskie, zielone, fioletowe to kolory zimne.

Podział ma oczywiście swoje uzasadnienie, opiera się na skojarzeniach. Na przykład czerwony jest kolorem ognia, miłości. Pobudza naszą namietność, daje ciepłe uczucia. Kiedy oglądamy obrazy Pabla Picassa z okresu błękitnego, czujemy przebijającą się z nich melancholię. Artysta przeżywał wtedy śmierć swojego przyjaciela, Carlosa Casagemasa. Nie da się jednak ukryć, że często znaczenia kolorów są odwrócone. Najgorętsze gwiazdy przyjmują barwy niebieskie. Biura i miejsca pracy oświetla odrażające żółte światło.

W pierwszym rozdziale filmu, Adele (Adele Exarchopoulos) poznaje Emmę (Léa Seydoux), gdy ta ma niebieskie włosy. Ich relacja, uczucie rozwija się. Między nimi kipi od emocji. W drugim rozdziale, gdy miłość obu kobiet zostaje poddana próbie, włosy Emmy są jasnobrązowe. Paradoksalnie, straciły ciepło i namietność, jakie towarzyszyły kobietom wcześniej. Wypaliły się. Ten drobny detal, mimo oczywistości, subtelnie wraz z innymi elementami filmu Abdellatif Kechiche oddaje charakter całego obrazu, mianowicie „Życie Adeli, rozdziały 1 i 2” gra na kontrastach.

Historia jest pozornie banalna. W pierwszej połowie filmu główna bohaterka, wchodząca w

dorosłość licealistka, nawiązuje relację ze starszą od niej studentką ASP. Adele jest normalną dziewczyną ze średniej klasy społecznej. Przeżywa pierwsze związki, szkołę, zastanawia się, co robić w przyszłości. Pasjonują ją książki. Raz zapytana przez chłopaka, co czyta, odpowiada „Życie Marianne” Pierre’a de Marivaux. Oczywiście rozmowa przechodzi w coś więcej, ale związek nie ma prawa trwać długo. W międzyczasie Adele, idąc przez ulicę, mija kobietę z niebieskimi włosami obejmującą swoją partnerkę. Na sekundę ich spojrzenia się krzyżują. Dziewczyna ma okazję poznać bliżej niebieskowłosą w lesbijskim barze, do którego młodszą trafiła przypadkiem. Tak Adele poznaje Emmę...

Druga połowa filmu przedstawia starszą już bohaterkę. Pracuje jako nauczycielka, wydaje się być szczęśliwa. Jedyne między nią a Emmą jest coś nie tak. Obie coraz mniej mają wspólnego, czują się samotne, częściej się nie zgadzają. Końca ich historii jak u de Marivaux, nie ma. Trzeci i czwarty rozdziały nie istnieją. Pozostają jedynie wspomnienia i refleksje. Smak ciemnego piwa, kobiecy akt oraz niebieski...



Film jest adaptacją powieści graficznej Julie Maroh "Le bleu est une couleur chaude". Mimo dość znacznych zmian, stara się wiernie podążać za oryginałem. Kechiche wraz z współscenarzystką, Ghalią Lacroix, podobnie jak Maroh przyłożyli wagę do opisywania emocji bohaterek, ale zamiast nielinearnej narracji, podzielili historię na dwa kluczowe okresy w życiu postaci. Wzmocnili także symbolikę, zwłaszcza koloru niebieskiego, zgodnie z tytułem - najgorętszej barwy. Jego namiętność i melancholia, przenikające się w oryginale, tutaj zostały rozdzielone i umieszczone w odpowiednich rozdziałach. Dialogi są niezwykle naturalne i trafione, jakby pisało je życie. Elementy, których zabrakło z oryginału, twórcy wynagrodzili spójnymi, nowymi wątkami oraz rozwinięciem niektórych scen i, najważniejsze, do liryki miłości dodali prozę codziennego życia.

Jak wyjść z kamerą na ulicę? Można potraktować to pytanie dosłownie i faktycznie wyjść z kamerą na ulicę, stawiając ją lub spacerując z nią, filmując wszystko. Być może takie pomysły przyświecały wielu awangardowym artystom, widzącym w tym esencję kina, spełnienie idei cinéma-vérité, pokazanie prawdy. Abdellatif Kechiche odwołuje się niejako do nich, pokazując różne aspekty życia bohaterki. Zgodnie z tytułem, oglądamy życie Adeli. Nie upraszcza nachalnie, daje nam cały obraz, koncentrując się na detalach. Widzimy każdą czynność w całej swojej krasie: je-dzenie, spacer, codzienne zajęcia. Zwłaszcza najbardziej pamiętne są intymne sceny.

Pytanie tylko, na ile pokazany obraz jest prawdziwy albo przynajmniej prawdopodobny, a na ile są to fantazje twórcy. Alfred Hitchcock w swoich filmach podejmował tematykę podglądactwa, czego najlepszym przykładem jest "Okno na podwórze". Kechiche podniósł poprzeczkę do rangi voyeryzmu. Zaraz po premierze reżyser został oskarżony przez Seydoux i Exarchopoulos o znęcanie na planie. Przypuszcza się, że wiele scen, zwłaszcza intymnych, kręcono bez wiedzy aktorek. Bez tej wiedzy nadal można, oprócz fascynacji, czuć silny dyskomfort. Namiętność kobiet stawiana jest bowiem naprzeciw brawurze formy.

Seks między Adelą i Emmą oscyluje niebezpiecznie nie tylko na granicy komfortu oglądającego, ale też uczciwości. Julie Maroh stwierdziła po obejrzeniu filmu, że te sceny wręcz ociekają pornografią, a ludzie w łóżku się tak nie zachowują. Mimo iż jej stwierdzenie leży częściowo w strefie osobistych doświadczeń, należy zadać sobie pytanie o granicę między rzeczywistością a two-rem kreowanym przez artystę. Czy twórca, chcąc najwierniej odwzorować świat, w pewnym momencie nie ustawia go zgodnie z własnymi wyobrażeniami? Czy jest to obraz wewnętrzny kobiety, czy fantazja seksualna samca? Z jednej strony kluczowym ele-

mentem miłości jest namiętność. Bez niej, co widać na przykładzie relacji Adeli i Emmy, związki często się kończą. Ma to swoje bio-logiczne uzasadnienie. Nie da się jednak ukryć sztuczności w owych scenach, jakby nagle zaczęła uprawiać gonzo. Każda strona ma swoją rację, a prawda leży gdzieś pośrodku.

Siła filmu leży w odtwórczyniach głównych ról. Adele Exarchopoulos i Léa Seydoux tworzą przede wszystkim wiarygodne, wzajemnie uzupełniające się postacie, z którymi łatwo się identyfikować. Relacja między nimi opiera się, oczywiście, na kontraście, zaś aktorki oddały jak najlepiej różnicowanie między Adelą a Emmą. Exarchopoulos gra zagubioną w świecie introwertyczkę. W rozdziale pierwszym dopiero uczy się dorosłości, a w drugim stara się ją odkryć na nowo. Ma w sobie wiele z Wertera oraz Holdena Caulfielda. Seydoux z kolei daje swojej postaci arystokratyczny urok. Dla Adeli Emma jest kimś niesamowitym, wręcz boskim. Niezwykła ekspresywność, pewność siebie, otwartość fascynuje zarówno główną bohaterkę, jak i nas samych, ale z czasem staną się uciążliwe. Różnice między bohaterkami obejmują także skromne detale, jak sposoby jedzenia czy ubiór. To niesamowite, jak można zaangażować się w rolę, by stworzyć, naprawdę, niezwykle kreacje. Zabawny jest także fakt, że aktorki pozostały po skończeniu zdjęć przyjaciółkami. Co więcej, w jednej z ostatnich scen, Exarchopoulos naprawdę płakała, gdyż to był ich ostatni wspólny dzień zdjęciowy.

Najsilniejszy kontrast, jaki wybrzmiewa w filmie, można nazwać synekdochą - szczegółem ogółu, ale także ogółem szczegółu. Obraz obejmuje jedynie wycinek z życia jednej, konkretnej osoby z siedmiu miliarda ludzi - Adeli. Jesteśmy świadkami jej dojrzewania, miłości, kryzysów. Nikt nie przeżywa tych samych zdarzeń, nie wchodzi dwa razy do tej samej rzeki. Z drugiej strony film do-tyka uniwersalnych tematów, choćby samego uczucia. Podchodzimy do postaci z empatią, odnajdujemy w nich samych siebie. Nie da się ukryć, że każdy kiedyś przeżywał wielką miłość, pierwsze razy; usiłował odnaleźć siebie. Istotę "Życia Adeli - rozdziały 1 i 2" można znaleźć w tytule. Oglądamy historię o dwóch rozdziałach z życia. Zarówno subiektywną, jak i obiektywną. Zarówno rzeczy-wistą, jak i stworzoną pod kamerę. Kolor niebieski zaś po obejrzeniu tego filmu staje kolorem za-równo melancholii, jak i miłości.

KACPER KOWALSKI – 2 AL

Wiersze naszych uczniów

Aleksandra Szlachta

„Pieśń o stworzeniu pustki”

Pan Bóg zapłakał nas swoim ludem rzewnie
To co jeszcze wczoraj było dobre upomniał daremnie
W Edenie dostałeś sens istnienia. To mówi Pan.
Ale ja nie chcę raju przeraża mnie ten błogi stan
Tam co prawda nie było cierpienia
Miałem dostatek wody pożywienia
Lecz pragnę doznać ludzkiej wolności
Okropnego świata prawdziwej poezji i moich słabości
A szatan jest poetą najlepszym
Skusił mnie swoim słowem pierwszym
Dał mi wszystko co już miałem
Za cenę tego co dziś nazywam ideałem:
Za moralność i sens za wodę pożywienie
Za łaskę spokoju i duszy ukojenie.
Człowiek opuścił Boga.
A oto Bóg odpuścił.
I tak minął wieczór i poranek, dzień ósmy.

Michał A. Kucharski

„Krótkie życie podmiotu lirycznego”

Życie
Rozpada się
Majestatycznie

Ludzie patrzą

Bo cierpienie
To sztuka

Piękne cierpienie
Jest towarem konsumpcyjnym
Ćwierć kilo w nutach
Pół na taśmie
Trzy czwarte w tomiku
Jeden i dwie dziesiąte na ostrzu noża

Krystaliczne łzy
Wędrują
Po alabastrowym policzku

Szkło pęka
Na kawałeczki
Spada na podmiot
Człowiek-przedmiot
Podmiot krwawi
Podmiot ginie
Ludzie klaszczą

Cudowne umieranie

Jan Pytel

„Frida”

co noc

gdy rozmyślam o swoich życiowych porażkach
przychodzi do mnie zapłakana Frida
nasza nienarodzona córeczka
oczko w głowie tatusia

w jej stalowych oczach Twoich oczach
widać strach
śnił jej się koszmar
śniło jej się że mamusia i tatuś się nie kochają

nie kochają siebie ani jej
udają że nigdy się nie urodziła
przytulam ją i jej ból wchodzi mi do serca
jest w mym łonie tak jak kiedyś w Twoim

nie
jej tam nie było
bo mamusia i tatuś się nie kochają

Katarzyna Rybszleger

„W tym wielkim mieście”

W tym wielkim świecie

Wielkie marzenia,

Każda litera pragnie stać się słowem,
Każda iskra stać się chce płomieniem,
Każda kropla wody usiłuje zgasić pragnienie,
Każde zdanie chce być zrozumiane.

W tym wielkim świecie

Obawy,

Czy litery piękny wyraz stworzą?
Czy ogień będzie przytulnym ciepłem?
Czy woda ulży w gorący dzień?
Czy zdanie nieść będzie prawdę?

W tym wielkim świecie

Ważny wybór,

Litery tworzą słowa dobre lub złe,
Ogień daje ciepło lub zimno,
Woda ratuje lub zabija,
Zdanie chwali lub karci.

W tym wielkim świecie

Nadzieja się tli,
Że każdy jest literą.

Patryk Sadowczyk

„Czwóra”

Oporów nie mam żadnych,
by mówić do dziewczyn ładnych,
mijam Cmentarz Grabiszyński,
ktoś coś mówi o Wyszyńskim,
dalej Fiołkowa,
Czas zacząć wszystko od nowa
Teraz FAT,
wciąż mam mało lat,
Kolega wysiada na Hutmenie,
Myślenie nie jest w jego domenie
Następnie Bzowa (Centrum Zajezdnia),
Wokół torów rozpościera się czarna jezdnia
Pl. Srebrny to kolejny przystanek,
Ten kolega co wysiadł się nazywa Janek
Mieszka niedaleko Stalowej
Szuka miłości, ale tylko chwilowej
Pereca - ale heca
Moja mama nie wyjęła ciasta z pieca
Kilkaset metrów dalej - Grabiszyńska
Przechadza się nią Joanna Horodyńska
Nowy przystanek - Kolejowa
W sklepie obok sprzedawana jest farba olejowa
Pl. Legionów - spędziłem tu dzieciństwo
Teraz chadza tędy pewne stare małżeństwo
Zaraz Narodowe Forum Muzyki
Mijam miłośników kulturystyki
Zamkowa - na co komu ona
Stoi tam dziewczynka jedząca batona
Świdnicka - przy niej BarBara
Ogółem ta okolica jest dość stara
Lektor mówi Galeria Dominikańska
Społeczność tutaj jakaś taka drobnomieszczańska
Urząd Wojewódzki - kojarzę jego budynek
Pan obok wyciągnął i je puszkę sardynek
Most Grunwaldzki - tam planuje wysiadać
Lecz głos w tramwaju zaczyna coś wypowiadać
Pl. Grunwaldzki - tutaj też próbuję
Lecz krzesło mnie niejako teraz absorbuje
Teraz Kliniki
Zapinam guziki
Mojej kurtki i słyszę głos - Hala Stulecia
Za oknem mama tuli swojego berbecia
Następny przystanek - zoo
Ja tak patrzę i myślę sobie "co?"
Tramwajowa - obok WuWa
Ktoś sobie żyły tu wypruwa
Mam się spotkać na Chełmońskiego
Koło domu mojego nauczyciela japońskiego
Piramowicza
Pilnie poszukuję znicza

By go zapalić przed Spółdzielczą
W tym tramwaju już cuchnie atmosferą wisielczą
Nareszcie pętla - Biskupin
Wysiadam i idę na osiedle małych chałupin

**„POLITECHNIK JUNIOR”
PERIODYK ZESPOŁU SZKÓŁ AKADEMICKICH
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ**

Redaktor naczelny: Kacper Kowalski.

Zastępca red. naczelnego: Maksymilian Skica.

Redaktorzy: Michał Mądrala, Marcin Weron.

Fotoreporterzy: Gaspar Sekula, Daniel Witkowski.

Sekcja filmowa: Maciej Proćków, Mateusz Torski.

Technicy komputerowi: Kamil Janowski,
Karolina Lubczańska.

Opiekun pisma: Wojciech Walczak.